

# **O funkcji poznawczej „literatury” i „wiedzy o literaturze” (tezy do przyszłej antropologii literaturoznawstwa).**

Danuta Ulicka

## Danuta ULICKA

○ funkcji poznawczej „literatury” i „wiedzy o literaturze”  
(tezy do przyszłej antropologii literaturoznawstwa)<sup>1</sup>

### „Literatura” i jej „teoria”

Trasowanie to czynność turysty, a nie solidnego kartografa, starannie odwzorowującego przestrzeń po zakończeniu podróży do źródeł. Trasując dzieje badań literackich za wiek XX z punktu widzenia zgromadzonej w nich refleksji nad poznawczą zawartością i wartością dwóch odmian pisarstwa, literackiego i literaturoznawczego, nietrudno dostrzec na prowizorycznej mapce główny dział. Przebiega on (oczywiście) w połowie stulecia i rozdziela dwie asymetryczne, a jednak znakomicie dopełniające się przestrzenie – tę z pierwszej połowy wieku, gdzie tzw. wówczas literatura (dziś z atrybucją „wysokoartystyczna”) była na różne sposoby wyzuwana z funkcji poznawczej, którą jednomyślnie przydzielono nauce, i przestrzeń ze stulecia połowy drugiej, w której, na odwrót, to literatura zaczęła być figurą poznania, nauka zaś stała się fikcją, narracją, konstrukcją, perswazją i retoryczną grą językową.

Nawet jednak omijając kręte, kopczykowane ścieżki przebiegające przez rozgraniczone tym działem obszary literatury i literaturoznawstwa, nie uwzględniając coraz to innych drogowskazów, wskazujących, gdzie jest „nauka”, „wiedza”, „teoria”, „poznanie”, „prawda”, „język”, „znaczenie”, „odniesienie”, jak do nich dotrzeć, co leży na szlaku, a co poza nim – turysta ufny w wytyczne czerwonych znaków zagubi się od razu. Większość przewodników po literaturze zgromadzonych w bibliotece kartograficznej za pierwszą połowę wieku poinstruuje go o bra-

<sup>1/</sup> Trzeba uprzedzić: tezy, jak to tezy – nie przyjmują subtelnych cieniowań, przypisów, odsyłaczy i ekskursów (ich przyszła obwarowana wersja ukaże się niezadługo).

ku i wypełnieniu równocześnie. Wyczyta w nich, że literatura funkcji poznawczej wprawdzie nie pełni i z powodów zasadniczych pełnić nie może, ale zarazem ma szczególną moc poznawczą, a „prawdy”, które niesie: „jutrzenkowe”, wglądowe, metafizyczne, niedościgłe i niepowtarzalne – są innym rodzajem wiedzy po prostu niedostępne. „Dzieło literackie”, oddzielane od „naukowego”, przeciwstawiane mu nie tylko w 1926 roku przez Richardsa, w 1930 – przez Ingardena, w 1948 – przez Kaysera, w 1949 – Welleka, w 1957 – Frye’a, ale jeszcze w 1972 przez Genette’a i 1975 przez Cullera, separowane od niego tak silnie, że pierwszy z wymienionych autorów sumitował się zażenowany w *Science and Poetry*, iż w ogóle ośmiela się stosować kategorie przyjęte w nauce – dzieło to wciąż i na różne sposoby wydzielało toksyny poznawcze.

To podwójne rozstrzygnięcie odcisnęło piętno na wszystkich bodaj konceptualizacjach literatury z pierwszej połowy stulecia, niezależnie od tego, czy problem „funkcji poznawczej” pasjonował ich twórców jako główny, czy uboczny. Niejasności nie usuwały dyscyplin obieranych za autorytatywne wsparcie (ontologia i epistemologia, logika, lingwistyka i semantyka, filozofia znaku i filozofia podmiotu), konkurujących z tradycyjnie wspomagającymi, a wypieranymi (psychologią, socjologią, estetyką). Nie ma potrzeby wałkować raz jeszcze tych dobrze znanych i dobrze omówionych spraw. Ważniejsze jest po pierwsze to, że wskutek dokonujących się tarć funkcja poznawcza uległa dywersyfikacji i obok dokumentalnego, logiczno-referencyjnego jej pojmowania wprowadzone zostały inne „różne rozumienia” „tzw. «prawdy» w literaturze”, które, acz mało precyzyjnie jeszcze formułowane i nierzadko rugowane z powodu przyrodzonego jakoby niedoroślej jeszcze wiedzy niechlujstwa językowego, okazały się niezadługo znacznie istotniejsze niż „prawda” definiowana w kategoriach referencji i weryfikacji. Ważniejsze jest, po drugie, że zarazem nienaruszone w swej poznawczej wartości, jałowe pod tym względem, pozostały dzieła o tych dziełach, zwane naukowymi. Niezależnie od tego, czy profilowane pozytywistycznie czy pozytywistycznie neo- lub anty-, formalistycznie, strukturalistycznie czy fenomenologicznie, hermeneutycznie, semiotycznie czy psychoanalitycznie – wszystkie jednak bezkrytycznie przyjmowały wskazania zastanego, mało co zmienionego naukoznawstwa. To zaś w żadnym razie w poznanie naukowe nie wąpiło. W rezultacie wartość poznawcza, i to wyłącznie poznawcza, teorii literatury, bo z „teorią” „nauka” i „wiedza” o literaturze z wolna zaczęła być utożsamiana, była niepodważalna. Acz w różnych, skłóconych ze sobą i wymienających się na metodologicznej warcie wariantach literaturoznawstwa teoretycznego wartość ta miała różny zasięg i różnych sfer dotyczyła, nieodmiennie była wartością „silną”, mocną przekonania o zewnętrżności obiektu wobec neutralnie do niego nastawionego, pozostającego w postawie obserwacyjnej i przedstawiającego na aktywności opisowo-analitycznej subiekta oraz przejrzystości jego sprawozdawczo-uogólniającego języka. Zmieniały się kąty widzenia, „wiedzenie” nieodmiennie pozostawało pewne, bo, jak mawiano, „empirycznie weryfikowalne”. Jeszcze w roku 1980 przekonywała badaczka, że różnoperspektywicznie obserwacje, nieuchronne niestety wobec skomplikowania obiektu, czynią wprawdzie

z teorii już tylko pół-nauki, „semi-teoretyczne”, te jednak sumują się w jedną ogólną naukową teorię.

I nawet gdy ich obiekt (nie tylko tak wyrafinowany ontologicznie, jak system, struktura, przedmiot intencjonalny, wyższy układ znaczeniowy czy warstwa głębocka, ale i tak, zdałoby się, oczywisty, jak gatunek, styl czy zgoła sama literatura), zaczął być podejrzany w swej „empirycznej” dostępności, to reprezentowało go empirycznie niepodważalne pojedyncze dzieło, które „naprawdę jest”, przyzwane w sukurs i na dowód weryfikujący teorie (nawet esktrmista-reista Kotarbiński złagodził przecież w końcu protesty przeciw przekładaniu teoretycznych zdań ogólnych na szczegółowe i uzasadnianiu szczegółowymi – teoretycznych). Teorie zaś miały dostarczać repertuaru technik eksploatacyjno-eksplanacyjnych dla przedsięwzięć podejmowanych w duchu *scientia activa et operativa* w poszczególnych domenach literaturoznawczej wiedzy. Nie dostrzegały przy tym nieomal własnego dwuznacznego usytuowania, z jednej strony jako dobrze wyposażonej narzędziowni, z drugiej – nadzorczyni, z jednej – poręczycielki „faktów”, z drugiej – wypowiedzi „fakty” te stwarzającej. Oddziaływanie konwencjonalizmu Poincarégo i reperkusje fenomenalizmu Macha, Bergsonowska krytyka języka, sceptycyzm Twardowskiego wobec operacji „symbolomanijnych”, nawet dramatyczne decyzje de Saussure’a o konieczności zaakceptowania „fikcji umysłu” jako obiektów badawczych, chociaż „nie istnieje ani jeden taki element, któremu przysługiwałoby tego rodzaju istnienie” – wszystkie te zwątpienia miały w pierwszej połowie stulecia jeszcze peryferyjne znaczenie. Różnymi drogami je omijano, długo jeszcze, do lat siedemdziesiątych cieniuąc tezy o niepodważalnej wartości poznania naukowego, już to za falsyfikacjonizmem Poppera, już to programami badawczymi Lakatosa. Także ściśle już pono wydzielona, autonomiczna i niezawisła teoria literatury, dzięki zastosowaniu różnych figur przez detrakcję, ocalała przed nimi swój wciąż na nowo wypracowywany „obiekt” i wciąż na nowo uzasadniane reguły poznawcze. Techniki, które wówczas pozostawały niedostrzegalne, za pomocą chwytów gatunkowych, stylistycznych, narracyjnych i kompozycyjnych, skutecznie rodziła efekt realności i tego obiektu, i samej siebie. Krótko mówiąc, w prototypie z pierwszej połowy wieku wygląda ona na idealne wcielenie „metafizyki obecności”.

Zdiagnozowana tu okiem turysty postawa scjentyistyczna wytyczała czerwone szlaki może wyłącznie w nauko- i literaturoznawczych kompendiach-przewodnikach oraz kilku powszechnie uznanych za autorytatywne manifestach i deklaracjach. Te jednak były najsilniej performatywne w budowaniu „ludowych” przekonań o braku/niebraku wartości poznawczej literatury i jednoznacznej, niepodważalnej wartości – nauki o niej. Co zaś najistotniejsze, te też właśnie (i bodaj tylko te) endemity stały się około połowy stulecia obiektem coraz bardziej zmasowanych ataków – już nie na „scjentyzm”, ale na „ideologię scjentyistyczną”. W ich efekcie, w dokonujących się od roku 1966 co dziesięć lat kolejnych „zwrotach”, sytuacja teorii i literatury została odwrócona: teraz to teoria, jako fikcja, narracja, konstrukcja kulturowa zawisła od posagu badacza i „ruchliwa armia kroczących metafor”, jak zaczęły powszechnie instruować młodszego turystę nowe przewod-

niki, traciła poznawczą przejrzystość, by stać się li tylko tekstem, dyskursem, ideologiczną bądź perswazyjną opowieścią czy zgoła anegdotą. Wartość poznania – i owego szczególnego, epifanijnego, które w pierwszej połowie stulecia scjentyzm, *secundo voto* „ideologia scjentystyczna”, traktował z pobłażliwym lekceważeniem, i nawet poznania pojmanego pozytywistycznie, dokumentarnego – tę wartość odzyskiwała natomiast literatura. I nie dlatego, że zmienił się repertuar badanych „dzieł” – dzieła, w odniesieniu do których wysuwano te tezy, pozostały w zasadzie te same.

Ruch „od nauki do literatury” okazał się więc prosty i nie wymagał nawet językowej inwencji; formuły obsługujące literaturę, przenoszone na naukę o niej, zachowały sprawność komunikacyjną. Poznawczemu wyniesieniu jednego typu wypowiedzi i obniżeniu drugiego (wciąż przecież niejasno, na kontrowersyjnych zasadach od siebie oddzielanych) dobrze służył zwłaszcza ten sam funeralny słownik. Leksemy tego specyficznie modernistycznego dykjonarza (używane już przez Spenglera, Witkacego i Chwistka, Gonsetha i Korzybskiego, a nawet Przybosia) układały się gradacyjnie, wspinając się po klimaktycznej drabinie od „kryzysu” i „wyczerpania” po „kres”, „koniec” i „śmierć”, odnosząc się na równi i do literatury, i do wiedzy o niej (o człowieku, autorze i historii nie wspominając). Rewers poznawczej monety, która była stawką w grze, był lustrzanym odbiciem jej awersu.

O epitafium dla literatury (historii, człowieka, autora) mniejsza – ważniejszy jest w tej chwili pogrzeb jej teorii. W dziedzinie literaturoznawstwa z nią bowiem, wyposażoną w pierwszej połowie wieku w zdolność kaptażu otaczających dyscyplin i skutkiem tego hegemonicznie jakoby władającą całym terytorium, wyklinała „wiedza” zdążyła już pokryć się niemal bez reszty. Właśnie też przeciw umierającej klasie wypowiedzi teoretycznoliterackich skierowane były wystąpienia antyscjentystyczne, pomodernistyczne w zamierzeniu, choć uwięzione w modernistycznych tematach i problemach, w modernistycznym języku i modernistycznych kategoryzacjach. Teoria (w liczbie pojedynczej, jak gdyby taka kiedykolwiek istniała), oskarżana o fałszerstwa i deformacje, jak jej przedmodernistyczna, to jest pozytywistyczna poprzedniczka – historia, atakowana za „zamykanie umysłów” (po polsku trzeba by chyba powiedzieć: „dyktaturę ciemniaków”) i teoretyczną przemoc, jeśli ostać się miała, to jedynie w wersji sztuki interpretacji. W poznaniu przez literaturę i w jej poznawaniu nie chodzi bowiem, jak pisała poetka i sprzymierzeńcy interpretowania samego, o istotę rzeczy, lecz o rzeczowość istnienia. Nieliczne obrony teorii, sięgające do argumentów z profesji lub profesji, błady wobec siły perswazyjnej bezwiednie wskrzeszonego przez metodolatrów apelu „z powrotem do literatury” (nawiasem mówiąc – też już pono martwej...).

Literaturoznawczej „nowej rzeczowości”, sadzeniu zielonych bulw „czytania”, „doświadczenia”, „przeżywania” na miejscu szarej (szarogęszącej się) nauki, wiedzy, metody, jednym słowem – teorii, nie towarzyszyła świadomość repetycji również innych, kanonicznych dla modernizmu przekonań: o faktyczności czytanego, o doświadczeniu wolnym od prze/d/sądów, a zdań sprawozdawczych – od ogólnych, o wyższości natury nad kulturą zgoła. Innymi słowy, masowy bunt przeciw

teoretycznej maszynie nie rozpoznawał, że przywołuje jeden modernistyczny scjentyzm przeciw innemu, oba przy tym jednakowo nierzetelnie. Więcej niż *misreading*, bo jawnym nieprzeczytaniem *Das literarische Kunstwerk* czy *Kursu językoznawstwa ogólnego* było przecie przypisywanie fenomenologii i strukturalizmowi – poznawczej buty, lekceważenia intuicji przeżywania i nieczułości na tajemnicę, by nie wspominać o groteskowości oskarżenia tego ostatniego o totalitaryzm. Takie jednak rozpoznania na przełomie wieku i w pierwszych dwóch dziesięcioleciach jego drugiej połowy stały się literaturoznawczymi faktami, z faktami zaś się nie dyskutuje. Wymagają one innego potraktowania.

### Efekty rewaluacji

Jak pouczają badania terenowe i tekstowe nad świadomością ludów, które nigdy już nie będą pierwotne, śmierć oznacza narodziny, a nowo narodzone, wypełniając puste miejsce, kontynuuje martwe (co się wyklada jednym słowem: dyskontynuacja). Patetycznym nekrologom głoszącym „śmierć” ściśle przeciw określonych, a bezprzykładnie unifikowanych, historycznych koncepcji nauki-wiedzy-teorii, towarzyszyła erupcja koncepcji innych, redefiniujących ją w zgodzie z przemianami w filozofii nauki, w poszczególnych naukowych domenach i we wszystkich bodaj sztukach.

Poprzestane na tych pierwszych. Historyzacja i kontekstualizacja poznania, jego niepodległość wobec logiki odkrycia i niepodważalna podmiotowość, kulturalizacja, instytucjonalizacja i retoryzacja, podawane zarówno na mocy argumentów-kazusów z historii, jak na wiarę w świadectwa-wyznania z własnej intelektualnej biografii przez ojców niekartezjańskich metodologii, przez synów zaś rozwijane w poznania okazjonalność, przygodność i wierność wyznawanej wierze, elegancko zwanej „empirycznym konstruktywizmem”, powołały do bytu liczne nowe ujęcia wiedzy. Definiowały one poznanie jako konstrukcję bądź interpretację, refleksywistyczną bądź pragmatyczną, jako działanie i jako wiarę, w tym nawet wiarę magiczno-szamańską, jako praktykę kulturową i wspólnotową solidarność, konwersację (w przeciwnym wypadku – tragedię) i poważniejszy od niej dialog, jako grę językową bądź etyczne zobowiązanie, internalistyczną koherencję lub swobodną pracę chaosmicznego, nomadycznego risomu, heterologię i *phronesis*. Definicje te nie konkurowały ze sobą, w przeciwieństwie do mniej może licznych, ale też przeciwie niesingularnych ujęć poprzednich. Były przecie niewspółmierne, miały lokalny zasięg i nie musiały wchodzić sobie w paradę. Nawet radykalne uznanie nie-wiedzy, nie-nauki za wiedzę i naukę wartościową, wzniosła i niedościgną *powerfull science*, nie wzbudziło większej sensacji. Jakżeby zresztą mogło? Wszak niespełna pół wieku wcześniej status takiej szczególnie wartościowej wiedzy-niewiedzy uzyskiwała literatura. Bezwiedna (chyba) paronomazja zabezpieczała więc związek *rhosome* z rozumem (co we Francji zwłaszcza nie mogło nie przypominać pierwszej części *Dróg wolności* „ostatniego” filozofa). Do godności rozumu estetycznego ów nowy rozum/*rhosome* został też wyniesiony.



W rezultacie przebiegających z igraszką awangardową szybkością przewartościowań, dokonujących się w trosce o (też awangardową) przyszłość (pracami indywidualnymi i zbiorowymi z „przyszłością teorii” w tytule aż po ostatni numer „Critical Inquiry” można by zastawić parę półek; eksponowane miejsce zajmowałaby pośród nich książka Michaiła Epszteina *Znak probiela. O buduszczem humanitarnych nauk*, traktująca futurologicznie o teorii literatury XXI wieku), w rezultacie przewartościowań stosujących (znów – awangardową) strategię prowokacji, epatujących oryginalnością i niezwykłością, ale, paradoksalnie, szybciotko podejmowanych i rozwijanych w zgodzie z rytmem nauki normalnej, w której tryby inonauki rychło wpadały – w efekcie niegdysiejsi uczeni stawali się pisarzami, „transcendentalnymi beletrystami” i „pyrronistami”, schematy argumentacyjne zmieniały się w schematy narracyjne, a terminy w metafory (w pisarzy przemieniali się nie tylko Freud i Wittgenstein, Jakobson i Levi-Strauss, Darwin i Whorf, ale nawet Kartezjusz; tylko o Baconie – „naprawdę” autorze powieści – jakoś zapomniano). Teoria, innymi słowy, straciła pracowicie fingowany „efekt realności”, by zrównać się pod tym względem z „literaturą”. Na co nawet Henryk Markiewicz zareagował w końcu bezradnie (aciz zastrzegając się cudzysłowem): „nauką jest wszystko, co ludzie za naukę uważają”.

Muszę zastrzec: nie jest moim zamiarem ani śledzenie przeżytków nowoczesności w ponowoczesności (po co? po Lyotardzie, Welschu, Morawskim, Baumanie, Boleckim?), ani wdawanie się w spór, czy „paradygmaty” takie dadzą się rozdzielić. Daleka też jestem od kwestionowania ważności, a także intelektualnej (i zwłaszcza estetycznej) atrakcyjności efektów rewizji prototypu znawstwa uznawanego za modernistyczne. Efekty te zdążyły się zresztą już tak utrwalić, że dyskutować z nimi znaczyłoby zawracać Wisłę kijem.

Wskażę te, które uznają za trudne do uchylenia. Tymczasowo trwałe, jak się wydaje, przyjmowane niezależnie od metodologicznych opcji, niezależnie też od domeny poznania (czy to będzie literaturoznawstwo, czy historiografia, socjologia, psychologia, czy ekonomia) jest przede wszystkim rozpoznanie, iż nie ma takiej właściwości – by stawestować znaną formułę Searle’a – która pozwoliłaby odróżnić dzieło naukowe od nienaukowego. Liczne próby odnalezienia specyficznych dla niego wykładników (gatunkowych, narracyjnych, stylistycznych i kompozycyjnych, logicznych i retorycznych, związanych z pozycją i postawą podmiotu, stopniem jego jawności, monologowym lub dialogowym charakterem jego wypowiedzi i jej modalności – *de dicto* czy *de re*, deontycznej czy epistemicznej), próby te, jeśli były historycznie rzetelne, to spełzły na niczym, a jeśli normatywne, to dochodziły do trywialnych wyników, co przyznawali z zażenowaniem sami ich twórcy. Satelitą świata literackości, obok innych światów możliwych, stał się bezsprzecznie „świat naukowości”, uznawany za taki przez Brunerowskie „aktualne umysły”. „Nauka” zaczęła być raczej „sposobem czytania”, podsuwanym przez „ramę teoretyczną”, wypowiedzią tak samo pozagatunkową, residualną, jak literatura. Bywa też, że z równym jak literatura uporem wciąż walczy o swoją tożsamość, uznając stan owej tożsamości utracenia za przejściowy lub zgoła terminalny, wymagający natychmiastowej pomocy służb sanitacyjnych.

Pierwszy ważny efekt przewartościowań to zawierany coraz zgodniej i powszechniej, nazwę go tak, p a k t p o z n a c z y. Uwzględnia on racje obu stron („naukowej” i „literackiej”, scjentyistycznej i a- lub antyscjentyistycznej), świadomych prototypowości swoich kategoryzacji, lokalności, czasowości i umowności porozumienia, ale i warunków koniecznych, semantycznych, syntaktycznych i pragmatycznych, na których mocy ono działa, wymuszających jego spełnienie oraz nadających mu siłę, nie tylko obligującą, ale i performatywną. Pakt ten nie polega więc na grze w udawanie ani na „wszystko ujdzie” i nie przemienia automatycznie wiedzę w literaturę, a literatury w wiedzę.

Efekt drugi – wiązany z „postteoretyzmem” i polyotardowską nauką postmodernistyczną – polega na uprawomocnieniu dobrze znanego i świetnie osadzonego we wcześniejszej praktyce teoretycznej stanu rzeczy. Mówiąc najprościej, w miejsce singularnej „teorii” czy „poetyki” nawet w tytułach prac propedeutycznych pojawiła się liczba mnoga. I nie jedynie w literaturoznawstwie przecieź. Ważna jest wszakże nie tyle sama legalizacja poznawczego pluralizmu (pozycjonowania, amorfii, dialogowości, „subiektyfikacji” bądź „subjunktywizacji” – imion ma ci on dostatek), ale przede wszystkim odciążenie go od zarzutów szkodliwego „relatywizmu” czy „sceptycyzmu” (co gorsza „dogmatycznego”). Nazywające tę postawę poznawczą takie określenia, jak „anty-antyrelatywizm”, „*consensus* w sprawie *dissensu*”, „nierelatywistyczny konstruktywizm”, „realizm niereprezentacyjny”, „niekorespondencyjny” czy „antyrealistyczny” lub „postrealizm”, które zdomowały się w refleksji o poznaniu drugiej połowy XX wieku, sygnalizują tę akceptację dostatecznie wyraźnie. W literaturoznawstwie zgoda na takie podejście przejawia się w odzyskaniu autorytetu poznawczego przez typy i gatunki pisarstwa dotychczas, z punktu widzenia wartości poznawczej, marginalizowane (jak eseje i tzw. krytyka literacka) i wkroczeniu z impetem do literatury gatunków i form uprzednio traktowanych jako obce (jak wyznanie, wywiad, autobiografia, szkic, notatka, ćwiczenie duchowe, słownik i encyklopedia układane wedle reguł generacji postteoretycznej, a nawet film i melorecytatyw). Tej demokratyzacji gatunków pisarstwa naukowego towarzyszy przyrost wypowiedzi zapośredniczonych, ujętych w ramę parodii i ironii, posługujących się stylizacją i aluzją. W efekcie teksty pretendujące na mocy paktu poznawczego do pełnienia funkcji poznawczych nabrały cech już nie tylko dialogowości, ale wręcz – dramaturgicznej wielopodmiotowości, która w nauce nie miała wcześniej racji bytu (sama dialogowość jest bowiem własnością *sui generis* poznania naukowego, zawsze miała też swoje naturalne wykładniki: przypisy, bibliografię, wstęp i podsumowujące zakończenie).

Efekt trzeci jest dwuznaczny. Po pierwsze dlatego, że owo „skarnawalizowane”, jak je nazywa David Carroll, bezdyskusyjnie efektywne podejście poznawcze zostało skojarzone z „rozmiękczeniem” teorii, przedstawianym jako zminimalizowanie jej ambicji do „średniego” lub „małego” zasięgu. Jednak sytuujące się we wspólnym polu semantycznym konotacje tych atrybucji przypisywanych nowej teorii-postteorii, wskazujące na „kobiece”, niekolonialne czy nieimperialistyczne zamiary, promując jej „słabość” – godziły się niejako na warunki „małej stabiliza-



cji”, byleby tylko zapewnić jej przetrwanie. A tym samym przepraszająco przykła-  
skiwały rozpoznaniom antyteoretyków, którzy zdemonizowali „teorię”, czyniąc  
z niej satrapę literaturoznawstwa. W efekcie „teoria” w nadwątlonej „postwersji”  
wciąż odnosi się poddańczo do owej zmistyfikowanej, dominującej, hegemoni-  
stycznej, autorytarnej czy zgoła totalitarnej „teorii”, jaka podobno rządziła (tylko  
której? najczęściej strukturalistycznej, czemu jednak nie – marksistowskiej?). Po  
drugie: atrybuty te znów dotyczą „teorii” w liczbie pojedynczej. Koncepty „teorii  
rozmiękczonej” ponownie ustanawiają jakiś jeden jej obowiązujący model, który  
unieważnił jakoby teorię „twardą”, silną i sztywną. Sama „teoria rozmiękczo-  
na” trzyma się przy tym mocno.

To „cienie”. Szczęściem jednak – przechodzę do efektu czwartego – teoria „sła-  
ba”, przynajmniej w tej wersji, w jakiej zaistniała już w socjologii, antropologii  
kulturowej, historiografii, psychologii społecznej, filozofii, etyce filozoficznej i fi-  
lozofii nauki, politologii, prawie, a nawet w niektórych naukach tzw. ścisłych, nie  
tylko nie wyparła literaturoznawczych teorii „twardych”, ale wręcz je umocniła,  
nadając im taką rangę poznawczą, jakiej bodaj nigdy nie miały na macierzystym  
terenie. Wiedza „twarda” z zakresu poetyki, stylistyki, genologii, retoryki i teksto-  
logii, a nawet edytorstwa, z dziedziny komunikacji literackiej, recepcji i odbioru  
(rozumienia, interpretacji) tekstu, wiedza o jego aspektach socjo- i psychologicz-  
nych, regułach kreacji i re-kreacji, sposobach odnoszenia się do innych tekstów  
i do kontekstu – wymieniam hurtem, by zasygnalizować w ten sposób poszczegól-  
ne „teorie twarde”, które tymi zagadnieniami były trawione – wiedza ta stała się  
abecadłem i elementarzem dla wszystkich bodaj dyscyplin działających w języku  
naturalnym i na tekstach w tymże języku sformułowanych. Niezależnie od tego,  
jak oceniać jej aplikacje i jaki mieć stosunek do tej „prawdziwej rewolucji na-  
szych czasów”, jak ją określa Bruner, polegającej jego zdaniem na tym, iż nasza  
uwaga przesunęła się z „co” na „jak” (myślę *notabene*, że to niezbyt zręczne wyra-  
żenie sygnalizuje przede wszystkim nieskrywane przez autora zauroczenie huma-  
nizystką rosyjską z lat dwudziestych), niezależnie od tego, faktem jest, że w różno-  
dyscyplinowym obiegu naukowym teorie literatury nabrały kluczowego znacze-  
nia. Nie znaczy to w żadnym razie – trzeba zastrzec od razu – że zajęły miejsce  
centralne, emanując swoją mądrość na cały otaczający świat naukowości.

Konkludując: wyparowanie z nauki (o literaturze) wartości poznawczych, roz-  
zumianych klasycznie, jako obiektywna i weryfikowalna wiedza o rzeczywistości  
(literackiej), sprzegło się z wejściem na ich miejsce wartości poznawczych niekla-  
sycznych, rozumianych jako wiedza o tekście-dyskursie. Teorie literatury miały  
o nich i wciąż mają najwięcej do powiedzenia.

## Nie samym „jak” się pisze

Kluczowa, bo kluczowa, ale jednak służebna by to była pozycja teorii literatu-  
ry, przesuująca je do wiedzy użytkowej bądź stosowanej. Teorie te jednak mają  
innym naukom więcej do zaproponowania.

Przykład będzie jeden, do tego stroniczy. Niezależnie od tego, czy filozoficznie zaangażowane, czy deklarujące neutralność, wszystkie bodaj „twarde” teorie, bardziej lub mniej jawnie podejmowały kwestie o zasadniczym znaczeniu dla dominującej w ich otoczeniu, dwuklasowej ontologii i związanych z nią perturbacji co do obiektu poznania (dość byłoby tu po raz drugi zacytować de Saussure’a). „Hipostazując”, jak oskarżali je scjentyści przodkowie, wprowadzały do obiegu takie byty, z którymi nauki o kulturze musiały się liczyć coraz bardziej, zwłaszcza że postulowało je również przyrodoznawstwo. Różnie te byty nazywano: przedmiotami intencjonalnymi, „trzecimi”, „duchowymi”, „biernikami myśli”, „znakami”, „sensami”, „inwariantami”, „strukturami”. W połowie stulecia nie udało się ich wytepić przeciwnikom „metafizyki obecności”; ostały się pod przemianowanymi nazwami (substancjalizujących się metafor lub materializujących pojęć, „ideologii”, „mitów”, „obrazów” świata, jego „mentalnych reprezentacji”). Te też „byty-niebyty” stanowią trwałe punkty odniesienia dla różnych dyscyplin, już nie tylko tekstami językowymi się zajmujących. A to właśnie „zatwardziały” (diltheyowskie, desaussure’owskie, ingardenowskie, bachtinowskie, peirce’owskie, tartuskie) literaturoznawstwo teoretyczne najwyśmieniciej sproblematyzowało to, co dla nich najistotniejsze: ich zmienną i nietrwałą tożsamość, historyczno-kontekstowe znaczenie, funkcje i funkcjonowanie, podwójną (kreatywną i rekreacyjną) podmiotowość, wreszcie – wyzwania, jakie rzucały koncepcjom poznania i jego „prawdziwości”. Dostarczając przeciwnikom materiału do dalszych przemyśleń i inwencji nazewniczej.

Przywołałam ten przykład także tytułem dogodnej ilustracji jeszcze jednej sprawy. Wskazane byty-niebyty, teoretycznoliterackie „znikające punkty” rozdziły się w dziwnej dla typologa przestrzeni. Nasza wspólnota uznawała ją za poletko teorii literatury, wspólnoty inne – za dominium lingwistyki, semiotyki, filozofii, psychologii, socjologii, antropologii strukturalnej, społecznej bądź kulturowej. Także kultywatorów tych pól niełatwo pomieścić w organizacyjnych porządkach, przypisać do „wydziałów” i „katedr” zaprojektowanych ze względu na „przedmiot i metodę”, jak z uporem przekonywali na początku wieku architekci teoretycznoliterackiej dyscypliny, również w Polsce, którzy – paradoksalnie – wznosząc podwaliny jej autonomii, odrębności i tożsamości, zarazem od razu je podkopali.

Krótko mówiąc, teoretycy literatury od początku (przyjmijmy umownie: od tzw. antypozytywistów lub, jeśli kto woli nowsze słowniki, młodszych i starszych modernistów) tworzyli *fuzzy* teorię, teorię o rozmytych brzegach. Powstające całkiem niedawno nowe nauki (czy jeszcze literaturo-, czy już nieliteraturoznawcze?) – kognitywizm, generologia, narratologia, chaotologia, krytyka etyczna, feminizm, teorie polityczno-kulturowe – ten stan pograniczności, heterogeniczności, nieokreśloności, polifonii, amalgamatowości, interdyscyplinarności (czy jak go jeszcze i za kim nazwać) wzmocniły. Nie są bynajmniej „postmodernistycznym bzikiem”, lecz raczej „dys-kontynuacją”. I nawet jeśli nie znają lub znać nie chcą swoich korzeni, to wciąż bezwiednie wydobywają je na powierzchnię.

Mówię o dys-kontynuacji, by zasygnalizować także różnicę dzielącą międzydyscyplinową amalgamatowość dawniej i dziś. Jeśli we wczesnej fazie modernizmu scenariusz ról był jasno i wedle hierarchii ustalony (teorie literatury czerpały z rozpoznań ościennych dyscyplin, każda z teorii miała swój własny autorytet i broniła go do upadłego), to w fazie drugiej (niech już tak zostanie – mniej więcej z połowy wieku, byleby tylko nie inicjować jej Barthes’em i Derridą, ale pamiętać i o Jakobsonowskiej *Poetyce w świetle językoznawstwa*) karmiący był zarazem karmionym, a dłużnik – wierzycielem. (To z powodu niezrozumienia tego stanu rzeczy pewne naukowe wydawnictwo oponowało niedawno przeciw włączeniu Bachtina do antologii *Filozofia współczesna*, tłumacząc, że był przecież teoretykiem literatury, a nie filozofem – a tym samym, co znamienne, przenosząc wstecz na autora *Filozofii czynu* dysputę o Derridzie).

Naruszenie podstawowej zasady ekonomii modernistycznej – podziału pracy między naukę i literaturę, naukę o języku i o literaturze, naukę o społeczeństwie i o tekście, o kulturze i o naturze wreszcie – miało doniosłe skutki także dla lektury tekstu tzw. literaturoznawczego. Zalegalizowane zostało jego czytanie w trybie innym niż *als ob* – konstatacja, „prawda” weryfikowalna w odniesieniu do „samej literatury”. Rzecz nie w tym jednak, że uprawomocnił się odbiór tekstu wyłącznie jako poetyckiego, konfesyjnego, perswazyjnego czy etycznego. Ten bezpośredni (i niekonieczny) skutek nie wydaje się najważniejszy. Ważniejsze, że zalegalizowane zostało niestawianie temu tekstowi pytań wyłącznie o „odpowiedniość” jego prezentacji wobec prezentowanego. Zastąpiły je pytania „dlaczego” (dlaczego tak czytany) albo „po co” (gwoili czego tak czytany), towarzyszące pytaniom: „przez kogo”, „po co”, „dla kogo”, „w jakiej sytuacji” tak pisany? Pytania te, uznawane za stosowne wobec literatury, zaczęły odnosić się z równą zasadnością do wypowiedzi o niej. Bez nich zresztą wypowiedź ta jest po prostu nieczytelna, a sprowadzona do „metodologicznych założeń” mało kogo obchodzi.

Dopełnię anegdotą. Kilka lat temu pewna argentyńska bachtinolożka odkrywczo zaanonsowała: „Głupi ten Bachtin. Zamiast pisać o Tołstoju, uczył się Dostojewskiego”. Argentyńska badaczka na tym musiała zakończyć swoje skądinąd celne spostrzeżenie, bo nie znała aury otaczającej autora *Biesów* w pracach rosyjskich historiozofów i teologów, roli przypisywanej mu w renesansie religijnym, tzn. nie potrafiła odtworzyć powodów, dla których Bachtin – serapionowiec nie mógł nie pisać o Dostojewskim. I dla których nie mógł nie nałgać – wprowadzając do tzw. drugiego wydania książki o Dostojewskim rozdział o satyrze, za co do dziś gania go filologowie klasyczni, podobnie jak romaniści i germaniści za karnawał w *Twórczości François Rabelais’go*. Przygany Bachtinowi nie zaszkodziły. A powody, dla których pisał o tym, o czym pisał, i to, co pisał, z punktu widzenia klasycznej nauki najzupełniej pozapoznawcze, nadały mu rangę jednego z najważniejszych antropologów kultury.

Zamiast o Bachtinie anegdota mogłaby być o Szkłowskim, który chodził do portu nauczać marynarzy teorii języka poetyckiego, lub o Jakobsonie i jego kłótni z Siedleckim o motto z Husserla do *Afazji...*, bo Ingardenowskiego argumentu

rozstrzygającego spór z mistrzem (że teraz, w czasie wojny, najdogodniej byłoby uznać czysto intencjonalne istnienie świata, ale właśnie teraz trzeba bronić jego realności), przywoływać mi nie wypada, a Derridy nie śmiem. Ich teksty i ich bioteksty uzyskały ważność nie dlatego tylko, że reprezentowały „wartości poznawcze” wobec przywoływanej „samej” literatury – co nie znaczy przecież, że tych wartości były pozbawione – lecz również ze względu na wartości niesprawiedliwie zwane „pozapoznawczymi”. Tak dwoiście je czytać, nie zaniedbując ani jednego, ani drugich – znaczy: uprawiać literaturoznawstwo antropologiczne.

## Antropologia literaturoznawstwa

Postulując tę całkiem nienową, jak będę przekonywać, odmianę wiedzy, nie zamierzam anarchizować literaturologicznego państwa, dostatecznie zresztą określę go w poli-archii, by się anarchią nie przejmować. Gotowa jestem też uznać, że to antropologiczne znawstwo należy do już względnie ustabilizowanej dyscypliny, to jest do antropologii literatury – jeśli włączy ona w pole uwagi teksty z piątej formacyjnej kolumny, tzn. teksty literaturoznawcze. Rzecz do ewentualnych negocjacji.

Do samej nazwy (mało urodziwej i kontrowersyjnej, ale nie jedyna to nazwa w nauce o zastanawiających kolejach losu i trudnej akceptowalności, podobna pod tym względem do choćby „socjologii humanistycznej”) przekonuje mnie, po pierwsze, pokrewieństwo sytuacji i kondycji dyscyplin antropologicznych z sytuacją i kondycją tej, która wciąż nazywana jest teorią literatury (tu śmiało można wyręczyć się Geertzem, by je wskazać). Po drugie, w nazwie „antropologia literaturoznawstwa” zawiera się odnośnik do zaprojektowanej przez Bruno Latoura antropologii wiedzy – z zastrzeżeniem tylko, że nasze antropologiczne literaturoznawstwo nie byłoby jej podrzędną częścią (jakąś antropologią literaturoznawczą w świetle antropologii ogólnoznawczej); przeciwnie – powinno śmiało pretendować do samodzielności, zabudowując niezrozumiałą lukę w dziejach filozofii nauki, od zawsze, i przed rewolucją paradygmatyczną, i po niej, projektowanych wyłącznie na przyrodoznawstwie. Po trzecie – do nazwy tej przekonują już istniejące antropologie dyscyplinowe (jak antropologia sztuki Olivy, socjokulturowa – jak Janicka i Toulmina *Vittgenstein's Vienna*, kognitywistyczna – jak Douglasa R. Hofstadtera *Godel, Escher, Bach*, etyki – jak skomponowana na wzór antologii rozprawa *Residues of Justice: Literature, Law, Philosophy* Way Chee Dimocka, literaturoznawcza – jak *Nic Ariadny* Hillisa Millera), rzadko zresztą mianujące się antropologiami w tytułach, częściej już ukryte pod szyldami „meta” (jak „metapoetyka” Petera Steinera poświęcona rosyjskim formalistom czy „metahistoria” White’a) lub „krytyka”. Nazwa odsyła wreszcie do „antropologii refleksyjnej”, sytuującej się najbliższej może literaturoznawstwa (choć i mu zagrażającej, bliskiej wchłonięciu poetyki do antropologii kulturowej).

Dość o nazwie. Nie będę też rozwodzić się nad nieistniejącą różnicą między uprawianymi już antropologiami a antropologią literaturoznawstwa, że jakoby one

badają „same” obiekty, podczas gdy antropologia literaturoznawstwa – byłaby opowieścią o opowieściach. Ze złudą „badań terenowych” antropologia skutecznie się już rozprawiła. Do postulowania antropologii literaturoznawstwa ośmiela mnie przede wszystkim przeszła, dwudziestowieczna, i terazniejsza sytuacja w tzw. teorii literatury. By zrekapitulować i wzmocnić dokonany na początku turystyczny „rzut oka”: 1. nigdy nie istniało nic takiego, jak „teoria literatury” – w liczbie pojedynczej; 2. teorie zawsze ujmowały swój przedmiot przez podwójną soczewkę, tworząc zarówno panoramy, jak miniatury, a zmienność ogniskowej nie konfliktowała interpretacji z generalizacją; 3. żadna z teorii literatury nigdy nie zamykała się w „autonomicznym”, odseparowanym od innych dyscyplin lennie, zawsze wchodziła w różne konfiguracje z innymi naukami i sztukami, sytuując się wobec nich i wypróbując ich inspiracje przy konceptualizowaniu swego przedmiotu; 4. przedmiot ten nigdy nie był po prostu dany, lecz zawsze wynajdywany w teoriach i wraz z nimi; 5. teorie nigdy więc nie odnosiły się do niego „obiektywnie”, tj. czysto referencyjnie i 6. w żadnym z używanych języków nie zachowywały meta-językowej postawy neutralnej; ich słownik terminów i pojęć krystalizował się stosownie do przyjmowanych innodyscyplinowych, a także literackich i innoartystrycznych punktów widzenia; 7. również repertuar gatunków wypowiedzi specyficznych dla „teorii” i odmienny od repertuaru gatunków zarezerwowanych dla „literatury” był i jest co najmniej kłopotliwy do ustalenia; 8. na własnym terenie teorii podział pracy – między nie i historię, poetykę, stylistykę, genologię – nigdy nie był jasny i rozłączny; poszczególne działy zajął się ze sobą, nie inaczej niż z dyscyplinami spoza „rodzimego” obszaru i ze sztukami; 9. to samo dotyczy również rozdzielania umiejętności (między analizę, opis, interpretację, wartościowanie, czyli, w obiegu metodologicznym – podziału na „wiedzę” lub „naukę” o literaturze i krytykę literacką, eseistykę itp.).

Te dziewięć tez z wielkimi kwantyfikatorami dopełnia dziesiąta: wszystkie ważne dwudziestowieczne teorie literatury, badając swoje obiekty-nieobiekty, wypowiedziały się zarówno o nich, jak o językach, kulturach, sztukach, religiach, wiedzach, o ludzkich i społecznych wartościach, potrzebach i emocjach – czyli o tym wszystkim, o czym wypowiadała się „literatura”, a wypowiadając się „o” tym, zarazem to „coś” stwarzały – znów: nie inaczej niż literatura (na przykładzie ekspresjonizmu kapitalnie dowodził tego Erazm Kuźma, na przykładzie „gadaniny” o kryzysie powieści – Kazimierz Bartoszyński). Wartości poznawcze obu typów dyskursów są więc pod tym (klasycznym, referencyjnym) względem identyczne, identycznie też – nieobligatoryjne i pozbawione bezpośredniej „mocy”.

Ten stan rzeczy nie zaistniał nagle, wraz z przełomem pomodernistycznym. W literaturoznawstwie teoretycznym ma swoją prehistorię, zacienioną wprawdzie w jej podręcznikowych wykładniach typu „dzieje” lub „systematyka” szkół i kierunków, ale nietrudną do ujawnienia (na marginesie: „trasowanie” – *tracing*, to także „pogoń za cieniem”). Od Diltheyowskiej poetyki jako nauki o historycznych światopoglądach, Crocego nauki o ekspresji jako uniwersalnej władzy mentalnej, Bergsonowskich studiów nad intuicją i wolnością od deformacji języku, przez for-



malistyczną wizję literaturoznawstwa jako ariergardy rewolucji społecznej, strukturalistyczne dociekania nad mechanizmami znaczenia i komunikacji, Proppa i generatywistów analizy uniwersalnej zdolności opowiadania, Ingardenowski literaturoznawczy dowód na istnienie świata, Bachtina pytania o „drugiego”, „trzeciego” i podmiot pozostający w relacji z nimi, o monolog i dialog jako postawy etyczne, Benjamina rozpoznania traconego świata wielkich indywidualności, Barthes’a, Kristevej i Eco demaskacje „mitu” i „ideologii”, pytania semiotyków o reguły międzytekstowego przekładu kulturowego, po narratywistyczne ujrzenie w narracji „struktury rozumienia” i wzorca czasowości egzystencji, brytyjskie i amerykańsko-francuskie teorie polityczno-kulturowe zgłębiające zagadnienia tożsamości, zróżnicowania, represji i przemocy oraz krytyko-etyczne i prawnicze studia nad dobrem, sprawiedliwością, obowiązkiem – wszystkie wymienione (i niewymienione: krytyka mitograficzna, psychoanaliza) literaturoznawcze „teorie” były tyleż teoriami literatury, co antropologiami. Czy w ogóle były kiedykolwiek inne?

(Edward Balcerzan pomyśli zapewne z przekąsem: powtórka, tylko powtórka, pod lekko zmienionym tytułem z jego *I ty zostaniesz strukturalistą*. A mówiąc serio: antropologii istotnie zagrażają te same niebezpieczeństwa, w których obliczu stanął strukturalizm, zaprojektowany wszak właśnie jako rzetelna i filologicznie odpowiedzialna antropologia, ale nazbyt w pewnym momencie popularny i nazbyt wszystkoogarniający – jednak przecież nie z tego powodu próbowano go unieważnić).

Do postulowania antropologicznego literaturoznawstwa prowadzi także lektura naszego słownika pojęć i terminów. Nie przypadkiem stał się on obowiązkowy dla innych nauk o kulturze. *Sui generis* antropologiczne znaczenia mają nie tylko takie, odwieczne, jak „mimesis”, „fikcja”, „rozumienie”, „interpretacja”, nie tylko tak mocno osadzone w dwudziestowiecznej świadomości, jak „komunikacja”, „dialog”, „karnawał”, „różnojęzyczność” (*vel* „heteroglozja”), „podmiot” i „inny”, nie tylko te, które jako antropologiczne same się prezentują, jak „intertekstualność”, „narracja”, „podobieństwo” i „różnica”, „punkt widzenia”, „horyzont oczekiwania”). Są wśród nich i takie, które zawsze wprawdzie przekraczały granice literaturoznawstwa (jak „parodia”, „groteska”, „ironia”), dopiero jednak stosunkowo od niedawna wyostrzyła się świadomość ich światopoglądonośnej i światopoglądotwórczej reprezentacyjności. Są takie, które służą już dobrze historycznym typologiom, funkcjonując wręcz jako metajęzyk (jak „metafora” i „metonimia”, „syllepsa” i „hypallage”, „cytat”). Są wreszcie i takie, które dopiero w duchu antropologii są opracowywane (jak figury retoryczne – by wymienić elipsę. Podlegają takiemu opracowaniu także terminy przynależne, wydawałoby się, wyłącznie logice czy historii sztuki (jak „modalność” i „impresja”). Inne – czekają na swoją kolej (jak rytm, wiersz tzw. wolny, rym, porównanie, „chwyt udziwienia” i „dezautomatyzacja” – te ostatnie już w swoim macierzystym czasie w obiegu nie tylko u formalistów, ale i fenomenologa, psychologa i językoznawcy). Pozwolę sobie prorokować: jeśli nie zajmiemy się tym słownikiem pod kątem antropologicznym, tj. poetologicznym i historycznym zarazem (a nie jest to kontrydyktoryczny postulat), to zawłaszczą go inni, ustawiając w duchu własnej wiary (wynajdując np.



poetyki umysłu) i odbarwiając je, tzn. ilustrując jego składniki niepozycjonowanymi tekstami literackimi. A w najlepszym razie słownik ten zmienia się w helleńsko-jezuicki pusty rejestr zbędnych wyrazów obcych.

By podsumować: pole postulowanego literaturoznawstwa antropologicznego pokrywałoby się z „faktami literaturoznawczymi” („faktami” rozumianymi za Tynianowem, Fleckiem, Latourem). „Fakty” te konstytuują się na mocy świadomie zawieranych, wielostronnie uzasadnianych metodologicznie i czasowo obowiązujących „paktów poznawczych”. Wśród tych „faktów” teksty „wysokoteoretyczne” stanowią tylko jedną z podklas wypowiedzi historycznie czytanych jako literaturoznawcze. Redukować literaturoznawstwo do nich to przykrawać własną pamięć do aktualnego świata naukowości (raz: wysokoteoretycznego, raz – zliteraturyzowanego) na mocy przyjmowanych koncepcji poznania, wiedzy, prawdy, dyskursu, tj. zwłaszcza stylu i gatunku wypowiedzi. Światy te zaś były i są tylko uchodzącymi akurat za realne światami możliwymi. Nie są przy tym równoległe. Bywało też w dziejach, że uznawano ich krzyżówki (dość uważnie przejrzyć kamienne tablice w *Głównych problemach wiedzy o literaturze* Henryka Markiewicza, by znaleźć na nich, oprócz utrwalonych jako *hoch*-teoretyczne rozpraw o „zrobieniu” *Płaszczka* i *Don Kichota*, również Majakowskiego *Kak dietat' stichi*). Jednym z istotnych problemów antropologicznego literaturoznawstwa byłaby właśnie sama zmienność repertuaru „faktów literaturoznawczych” (a to znaczy m.in. zmienność przypisywanej mu funkcji poznawczej i jej rozumienia).

„Faktów literaturoznawczych”, jeśli brać je z całym inwentarzem w to pojęcie włożonym, nie sposób prezentować bez uwzględnienia ich historycznej leksyki, poetyki i tematyki, a także kulturowej oraz personalnej biografiki. (To ostatnie koniecznie – na dowód „parodia”, powszechnie definiowana za uznanym za ważny, sugestywnym wywodem Bachtina, która wyparła diametralnie odmienną konceptualizację, daleko lepiej uzasadnioną i nieporównanie bogatszą w egzemplifikacje – Olgi Michajłowny Freudenberg. Gdyby spór o „słuszność” i „empiryczną weryfikowalność” ujęć obojga rozgrywał się w akademii, raczej pewnie trzeba by przyznać Oldze Michajłownie. Bachtinowski „punkt widzenia” okazał się jednak znacznie ważniejszy, i to wcale nie ze względu na samą parodię, a zwycięstwo „fikcji umysłowej” nad „prawdą dokumentu” przypieczętowało wejście uczonego do powieści – nie dopiero Umberto Eco, bo i już współczesnego mu Konstantina Waginowa).

Jako dyscyplina historyczna (właśnie – historyczna, i nie ma w tym, powtórzę, nic kontradyktorycznego), antropologia literaturoznawstwa ma również szansę naruszyć mur, rozdzielający „szkoły” i „kierunki”, nie popadając zarazem ani w tryby pozahistorycznej w istocie historii idei, która pokazuje jak w kalejdoskopie konfiguracje tych samych „wiecznych” tematów, ani w dywersyjną lekturę przeszłości, która dezawuuje ją i zawiesza (w jakim „znikąd” takie *veto* miałoby zaczepienie? i wobec jakiego *telos* mogłoby się określić?). Tym, co łączy „fakty literaturoznawcze”, co jednoczy ich konceptualizacje ponad „zatargami granicznymi”, niezależnie od tego, czy chciały bawić czy zbawić, było nastawienie, by mówiąc o literaturze,

## Szkice

mówić o tym, o czym i ona mówi. Ale mówić w sposób szczególny (i, pozwolę sobie ocenić: szczególnie atrakcyjny), uciekając się do Eliotowskiej „przedmiotowej ekwiwalentyzacji” własnych rozumień, przekonań i emocji, „subiektyfikując” je, a zarazem troszcząc zarówno o ich wierność (wobec cudzego wytworu), jak zasadność i uzasadnienie, które chroni przed ekstrawertyzmem i warunkuje udział w profesjonalnie prowadzonym dialogu.

A ponieważ poetyka konfesji znalazła już swoje miejsce wśród reguł naukowej konwersacji (a antropolog opatrzył ją nawet komentarzem), to wyznam na koniec: właśnie dlatego, że są antropologiczne, lubię czytać teksty literaturoznawcze, tak jak Steiger lubił czytać wiersze Morikego.